

Republika trzydziestu trzech kobiet

Na wyspie amazońki nic się nie zmieniło

Akurat sto lat temu angielski statek „Welmouth” udał się w swoją dziwną i fantastyczną podróż, która zakończyła się założeniem republiki kobiecej na wyspie „Walls Pyramid”.

Działo się to w tych czasach, kiedy Australia była kontynentem, do którego Europejczycy odnosili się z nieufnością, i gdzie jedynie udawali się ci ludzie, którzy nie mieli nic do stracenia, którzy rezygnowali z wszelkich wymagań, jakie posiadała cywilizacja człowieka cywilizowanego. Jeździli więc do Australii wszelkiego rodzaju wykołężnicy, przestępcy, awanturnicy, lub też poszukiwacze przygód, ci, których nie odstraszało, a którzy szukali za wszelką cenę możliwości rozpoczęcia nowego życia. To byli ludzie, którym wystarczyło życie w puszczy, życie kolonizatorów.

OKRĘT NARZECZONYCH

Ci ludzie, ci awanturnicy, którzy postanowili znaleźć ostateczną przystań na lądzie. Australja, zdawali się być naogół zadowoleni ze swojego pobytu i życia w warunkach conajmniej trudnych. Ale — było w tym jedno wielkie ale — a mianowicie tym minusem był brak kobiet na kontynencie australijskim. Oprychy i awanturnicy, poszukiwacze złota i przygód, czy wreszcie bohaterzy zuchwałych wypraw po wróżenia — po osiedleniu się w Australji zapagnęli spocząć po niespokojnym życiu przy tak zw. ognisku domowym. Oczywiście, że do założenia takiego ogniska niezbędna była kobieta. Marzenia australijskich kolonistów zwracały się ku kobietom białym. Na miejscu były tylko tubylcze czarnoskóre istoty. Wobec tego rząd angielski, sprawując pieczę nad kontynentem australijskim, jak również nad jego białymi mieszkańcami, którzy w przeważającej ilości rekrutowali się spośród Anglików, postanowił zająć się pośrednictwem matrymonialnym i dostarczyć wabundom ustakowanym już narzeczeń w Australji — małżonek.

Corocznie więc ogłaszano, że kobiety, które zechciałyby wejść w związki małżeńskie i zamieszkać w Australji, mają się zgłaszać do biura portowego. Zawsze znajdowała się spora ilość kandydatek i corocznie do dalekiej Australji odpływał od brzołów Anglii statek, wiozący przyszłe żony australijskich kolonizatorów.

REPUBLIKA 33 KOBIET

Z takim właśnie transportem 33 kobiet wyruszył przed stu laty statek „Welmouth”. Załoga jego składała się z kapitana i dziesięciu marynarzy. Niewiadomo dlaczego kapitan postanowił popłynąć inną drogą, niż tą, którą dotychczas znali statki, kursujące między Anglią a Australją. Kapitan statku „Welmuth” wziął kurs na Nową Gwineę i Jawę. Kiedy statek znajdował się mniej więcej w odległości 100 mil morskich od Sydney — wybuchła nagle straszna burza i statek, wiozący 33 narzeczone zagnany został w jakieś nieznane kapitana i załogi strony. W pobliżu jakiejś nieznanej wyspy — statek rozbił się, a załoga wraz z trzydziestoma trzema kobietami zdołała się z trudem uratować. Zbawczą wyspą, na której rozbiłki znalazły przytułek, była mała, leżąca pod 159 stopniem długości, a 32 stopniem szerokości południowej wyspka „Ball Piramids”.

A tymczasem w Sydney i w Brisbane na brzegu stali koloniści australijscy, oczekując niecierpliwie przybycia swoich narzeczonych. Coprawda zdawali sobie doskonale sprawę z tego, że między przybywającymi kobietami napewno nie ma aniołów, że są to kobiety, co do których przeszłości nikt nie może mieć wątpliwości, gdyż ich burzliwe przeżycia zbyt wyraźnie malowały się na twarzach — ale były to białe kobiety, które jednak mogły stać się bliskie i przywiązane. Zresztą mieli przykład, że niektóre z nich potrafiły stworzyć swoim mężom prawdziwe szczęście.

„Welmuth” jednak nie przybywał. Po tygodniowym oczekiwaniu zawiedzeni koloniści pogodzili się z myślą, że może transport małżonek został z jakichś powodów w drodze zatrzymany i że może „Welmuth” przybędzie dopiero po paru miesiącach.

A przez ten czas z niedoszłymi małżonkami kolonistów działy się najdziwniejsze rzeczy. Po osiedleniu się na małej wyspie, kobiety narazie stosowały się do żądań i wymagań kapitana oraz dziesięciu marynarzy, ale pewnego dnia wybuchł bunt. Trzydzieści trzy kobiety zbuntowały się i ogłosiły na wyspie republikę kobiecą, dyktując swoje prawa i żądania wobec męskiej

mniejszości. Kapitan i marynarze, chcąc nie chcąc przyjęli tę rezolucję i z pokorą poddali się kobiecym rządóm na wyspie.

UCIECZKA Z RAJU

Amazonki rządziły doskonale i bardzo energicznie. Życie płynęło spokojnie. Na wyspie panował porządek, a reprezentanci rodu męskiego, obarczeni byli szeregiem obowiązków, które spełniali pozornie z rezygnacją. Znaleźli się jednak wśród tych jedenastu mężczyzn tacy, którzy postanowili porzucić kobiecą raju i powrócić do kraju, w którym nie byłoby uciskanej mniejszości. Przyszła więc kolej na bunt mężczyzn. Był to jednak bunt cichy i polegał prosto na ucieczce kilku marynarzy. Uciekinierem z raju na „Ball Piramids” udało się po długiej wędrówce dotrzeć do Sydney i powiadomić tamtejsze władze o losach statku „Welmuth” oraz załogi i owych trzydziestu trzech niedoszłych obywateli.

Władze w Sydney postanowiły

copędzej wysłać na wyspę „Ball Piramids” ekspedycję ratunkową, która się zajęła przewiezieniem rozbitków do Sydney. Ale ekspedycję po przybyciu na miejsce spotkała niemiła niespodzianka. Członkinie kobiecej republiki przyjęły gości nieprzychylnie. Prosto wyruszyły przeciwko nim uzbrojone w kije, kamienie i wielkie ostro - brzegie muszle. Ta wyraźnie nieprzyjacielska postawa zmusiła ekspedycję ratunkową do odwrotu. Nie wszyscy jednak powrócili, — byli tacy wśród uczestników ekspedycji, którzy woleli nie powracać do Sydney, ale pozostać na wyspie pod rządami tamtejszych Amazońki.

Rzecz ciekawa, że ta mała wyspka, na której w tak dziwnych warunkach powstała przed stu laty jedyna chyba na świecie republika kobiega — zachowała do dnia dzisiejszego całkowitą autonomję, a ponadto cały szereg praw, które ustanowione zostały wówczas przez owe trzydzieści trzy kobiety.

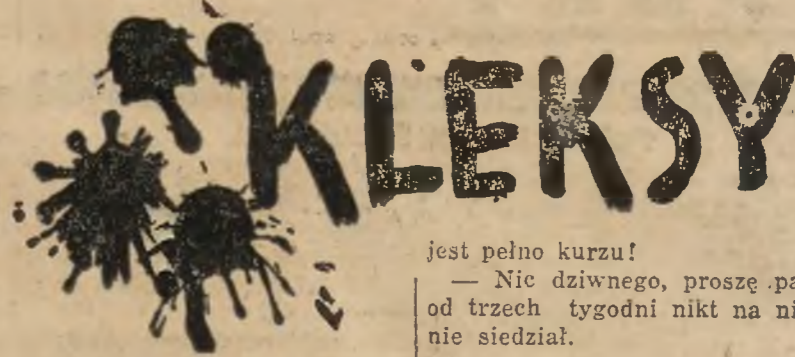
Tragiczna brawura lotników sowieckich

Znakomity lotnik sowiecki, Slepnieu, któremu nadano tytuł bohatera ZSRR za jego wyczyny lotnicze, ogłosił w prasie sowieckiej artykuł o niepożyczałnej wprost brawurze lotników sowieckich, co w wielu wypadkach stało się przyczyną katastrof lotniczych. Omawiając przyczyny katastrof olbrzymia powietrzna „Maksym Gorkij”, Slepnieu zwraca uwagę, że katastrofa ta została spowodowana przez pilota małego samolotu Błagina, który eskortował olbrzymią powietrzną. Błagin, jak wiadomo, mimo wyraźnego zakazu wiażd sowieckich, dokonywał różnych ewolucji w pobliżu „Maksyma Gorkiego”, przyczem zaważył o olbrzymią powietrzną i spowodował katastrofę. Slepnieu przypomina szereg analogicznych wypadków w lotnictwie sowieckim. Pewnego razu obserwował on ewolucje samolotu U. 2, dokonywane w okolicy Moskwy nad jednym z głównych traktów, którym właśnie jechał transport zboża, dostarczanego przez okoliczne kołchozy rolni do Moskwy. Pilot samolotu U. 2 uczynił sobie rozrywkę z tego, że zniżał się do wysokości słupów telegraficznych, dokonując rozmaitych ewolucji i straszak konie.

Lotnik Czepurny, który wysłany był na przeszkolenie lotnicze do Francji, po powrocie do Sovietów pragnął popisać się swą umiętno-

ścią, zdobył zagranię, dokonywał w obecności licznych lotników sowieckich karkołomnych ewolucji i w pewnym momencie zaważyłszy o niebezpieczeństwie, spowodował katastrofę samolotu, w której poniósł śmierć. Wybrki lotników, zwłaszcza w lotnictwie cywilnym, powodują bardzo często poważne katastrofy. Pewnego razu na lotnisku moskiewskim lądowały dwa samoloty komunikacyjne. W chwili lądowania pilot obu samolotów zaczęli demonstrować różne sztuki akrobacyjne, przyczem manewrowali tak nieszczerliwie, że oba samoloty znalazły się przy lądowaniu naprzeciwko siebie. Nastąpiło zderzenie, w wyniku którego oba aparaty zostały całkowicie zdruzgotane i kilkunastu pasażerów poniósł śmierć.

Innym razem jeden z lotników sowieckich, nazwiskiem Szkap, należącego do środkowo-azjatyckiej eskadry, dokonywał karkołomnych ewolucji tuż nad dachami w Taszkencie. Jak wiadomo, ludność miast środkowo-azjatyckich przeżywa często na płaskich dachach swych domostw, gdzie w gorącej porze letniej również nocuje. Mieszkańcy przebudzeni hukiem motoru i widząc spadający na nich samolot, nie zdając sobie zupełnie sprawy z tego, że pilotowi chodziło jedynie o „zabawę”, zeskakiwali z dachów, łapiąc sobie re-



DIALOGI

— Czy pan mecenas jest w domu?
— Bardzo żałuję, ale pan mecenas już od dwóch miesięcy spoczywa w grobie.
— Och, no to nie będę przeszkadzał!

— Wie pan, panie Cahnfistel, że w zeszłym tygodniu robili mi operację. Wrzód mi przecinał.
— Pod narkozą?
— Nie, pod pachą.

— Wiesz pan co, panie Goldsfinger? Kupiłem wczoraj śliczny wazon z masy.
— Z jakiej masy? Z perłowej?
— Nie, z upadłościowej.

— Panie doktorze ja tu byłem przed dwoma tygodniami z czerwonym nosem. Pan doktor zapisał mi maść i teraz mam nos fioletoowy.
— Aha, przypominam sobie. A na jaki kolor pan sobie życzy?

— Czy chcesz być moim świadkiem?
— Czy to sprawa honorowa?
— Nie, pieniądze, żenie się!

— Widziałem wczoraj jednego pana. Okropnie był włany.
— Gdzie go widziałeś?
— W lustrze.

— Imię, nazwisko?
— Jan Gasiorek.
— Urodził się?
— Tak.

— Marysiu, na tem krześle

ce i nogi.

Komisarz wojny Woroszyłow w jednym z ostatnich rozkazów zabronił surowo lotnikom dokonywania tego rodzaju ewolucji, które graniczą z wyhyrkami. Lotnicy wojskowi, którzy nie zastosują się do tego rozkazu, mają być bezwzględnie usunięci z lotnictwa. W tym kierunku — podkreśla Slepnieu w zakończeniu swego artykułu — winny iść usiłowania również władz cywilnych, aby z lotnictwa komunikacyjnego usunąć „chuliganów powietrza”, jak nazywa Slepnieu nierozważnych lotników sowieckich.

jest pełno kurzu!

— Nie dziwnego, proszę pani. od trzech tygodni nikt na nim nie siedział.

— Jak się panu spało w naszym hotelu?
— Nieświeźnie. Ale zawsze lepiej spałem niż biedne pluskwy, te całą noc oka nie zmrzuryły.

— Ależ panie redaktorze! Moja matka płakała czytając te wiersze!...

— Niech pan te wiersze zabierze i więcej niech pan nie robi matce żartów.

— Miałabym dla pana odpowiedzieć żonę z pięciopokojowym mieszkaniem.

— Sądzi pani, że mi się ta pani będzie podobała?

— Co się ma podobać?! W pięciopokojowym mieszkaniu można się wzajemnie unikać.

— Moja córka po mnie odzie

działała ten piękny głos.

— Jaka pani musi być szczęśliwa, że się go pani pozbyła.

— Szukam kasjera.

— Przecież mi pan powiedział któregoś dnia, że pan kasjera znalazł.

— Ja właśnie jego szukam

— Jakto?... Rozwalił pan pięścią szczękę nieznajomego człowieka, zmasakrował pan drugiego, poturbował pan trzech policjantów?! Cóż to było, niech pan odpowie!

— Chwila słabości, panie sędzio!...

Jur.



NIEWOLNICA

kuchni jest kobieta
pozbawiona na lotnisku
kuchni! sparytusowej
E M S

Antoni Marczyński

Zemsta Hindusa

Powieść egzotyczna

— Oto moi ulubieńcy, — rzekł Bahadur, wskazując ogromną klatkę, którą zajmowały lamparty, używane do chita - hunting. (To okrutne polowanie, ongiś bardzo popularne w całych Indjach, dziś znane tylko w Hajderabadzie, miała Zosia zobaczyć później i to w nader dramatycznych okolicznościach).

— A pani jakie zwierzę podoba się najbardziej?

— Antylopa. Czyż nie jest śliczna?

— Owszem, ale ja wolę ją widzieć w błęgu, w panicznej ucieczce przed lampartem, czy tygrysem... Mówi się u nas, — dodał po chwili w zamyśleniu, — iż człowiek kocha najwięcej to zwierzę, do którego jest podobny.

— Jak to dobrze, że nie pochwalilam ropuchy!

— Nie miałem na myśli podobieństwa zewnętrznego, lecz instynktu.

— Ładna historia! To znaczy, że wasza królewska wysokość przynajmniej się do... proszę wybaczyć szczerze... do instynktów lamparta.

— Nigdy się z tem nie tailem.

— Wobec tego niżej podpisana łagodna, bezbronna antylopa musi mieć się na baczności przed groźnym lampartem. I już ucieka.

Złożyła ceremonialny ukłon i, śmiejąc się, pobięła szukać męża.

— Już ucieka, — powtórzył Bahadur, jak echo. — Nigdy jeszcze antylopa nie zdołała uciec lampartowi, jeśli ów miał chęć ją ścigać... A ja mam chęć, biała kobieto, o, mam! I gdy wybije stosowna godzina...

Fredy Prado często „gubił się”, pozostawał w tyle, by swą obecnością nie kępować gospodarza w jego umiżgach do Zosi, ale tym razem naprawdę znalazł coś takiego, co go zainteresowało, zatrzymało w pochodzie; mianowicie oszklone klatki z węzami. Usłużny Dewadatta, dotrzymujący towarzysztwa Fredyemu, wymieniał krajowe nazwy wszystkich tych niebezpiecznych gadów. Oto straszliwe jadowita „Deboia” (Vipera Russelli), a tam, w sąsiedniej klatce olbrzym grzejący się w słońcu, to „Kraait” (Bungarus candidus). Oto groźna „Noya” (Naja tripudians), o ten piękny, czarny okaz, to jej brat z Jawy...

— Ależ to są okularniki, — wtrącił Prado, zauważywszy na karkach węzów z trzeciej klatki charakterystyczny znak, nieco przypominający okulary. — Oczywiście, że to kobra.

— U nas używa się cejlońskiej nazwy „Noya”.

Podczas dyskusji, jaka wywiązała się na temat nomenklatury, nadeszła Zosia i ze zgrozą stwierdziła, że mają zachwycić się... węzami!

— Podobają ci się te wstrętne gady?

— Wstrętne? Moim zdaniem, one są najbardziej udanym dziełem przyrody. Spójrz na ich miękkie, harmonijne ruchy. Spójrz, jak rytmicznie i z jakim wdziękiem kołysze się okularnik, gdy Dewadatta gra na swoim dziwnym klawirze... Dewadatto, zagraj raz jeszcze, proszę.

— Czy wiesz, co powiedział przed chwilą książę Bahadur? — W głosie Zosi zadymiał zabobonny lęk. — Że każdy człowiek lubi najwięcej takie zwierzę, do jakiego jest... och, Fred!... jest podobny w instynktach.

— To święta prawda! — potwierdził Dewadatta z naciskiem. Fredy spojrzał na żonę i wlot zorientował się w sytuacji.

— Co wy mówicie! — udał zdziwienie. — A czego symbolem jest naprzykład pies? Bo to moje ulubione zwierzę...

Pomimo takiego oświadczenia, niezmiennie trudno było mu

oderwać się od klatek z gadami.

— Czem one się żywią? — spytał wkońcu.
Dewadatta jął sumiennie wyliczać wszelkie zwierzęta, jakie padają łupem indyjskich gadów, kiedy zaś Fredy pośpieszył naprzeciw nadchodzącemu Bahadurowi, dorzucił półgłosem:

— A czasami wąż pożera innego... węża!

Brzmiało to bardzo niewinnie; Fredy gdyby nawet był usłyszał te słowa, nie byłby w nich wyczuł zapowiedzi strasznego niebezpieczeństwa, jakie miało nad nim zawisnąć już następnego dnia.

Następnego dnia Zosia i Fredy zwiedzili część olbrzymich plantacji herbaty, które przynosiły Bahadurowi tyle, że pokrywały wszelkie wydatki na utrzymanie jego „dworu”, jego służby składającej się z trzystu osób. Powróciwszy do pałacu popołudniem, żądali letniej wody na kąpiel, jak zwykle. Dotychczas wnoszono im do pokoiów typowe indyjskie małe, blaszane wanny, w których nawet w siedzącej pozycji ledwie można się zmieścić, tym razem tylko Zosia mogła wziąć ten „zyczadzik”.

— Druga wanna cieknie, — oznajmił Dewadatta.

— Nie szkodzi, zaczekam, aż wykąpie się moja żona.

— A ja już kązałem przygotować kąpiel dla pana w basenie.

— W basenie? — To brzmiało zachęcająco. — Gdzież ten basen?

— O piętro niżej, na parterze. Zaprowadzę tam pana.

Fredy zabrał swój neser i poszedł za Dewadattą ucieszony, że nareszcie zamiast nasiadówki, będzie miał wygodną kąpiel w jakimś basenie.

— Jeśli ów basen jest wielki proporcjonalnie do reprezentacyjnych komnat pałacu, to i popływać sobie będzie można, — sądził. Zawiodł się srode. Basen był poprostu wąską, niezwykłą wprawdzie głęboką, ale szeroką zaledwie na metr i na dwa długą, a w całości wpuszczoną w posadzkę tuż u stóp ścian naprzeciw drzwi.

(C. d. n.)

REDAKCJA: Warszawa, Nowy Świat 22. Telefony 6 66.99 (sekretariat, dodatkowy red. naczelny); 6 66.62 (dwa polityczny i ekonomiczny); 6 66.63 (dział miejski i liter-art.); 6 66.53 (redakcyjny). Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt w godz. 4 — 6 pop.
ADMINISTRACJA: Warszawa, Złota 1. Telefony: Administracja i Złota 64. Prenumerata 691.66.
Wydział ogłoszeń 691.56. Skrzynka pocztowa 745. Adres telegraficzny: — A B C Warszawa. Konto P. K. O. Nr. 13550.
PRZEDTAWICIELSTWA: Kalisz, Aleja Józefiny 11, tel. 209; Piotrków Trybunalski, Stowackiego 9, tel. 59; Wrocław, Cyganka 26, tel. 136.
PRENUMERATA: miesięczna (z odnośnikiem do domu) i zamiejscowa wraz z cotygodniowym dodatkiem literackim „Prosto z Mostu” zł. 2.90 miesięcznie; wraz z dziełami Sienkiewicza zł. 3.90 miesięcznie.

Ceny ogłoszeń: za miejsce wysokości 1 milimetra przez szerokość jednej szpalty (na wszystkich stronach po 6 szpalt): na 1-iej stronie — 1 zł., w tekście (wśród artykułów) — 70 gr., w reklamach (wśród ogłoszeń) — 60 gr., na ostatniej stronie — 60 gr. Notatki reklamowe — 1 zł. Komunikaty (specjalne) — 150 zł., lekarskie — 30 gr. Nekrologia po 30 gr. Drobne po 20 gr. za wyraz. duże litery w ogłoszeniach „drobnych” liczy się za oddzielne wyrazy. Reklamowe oznaczają się cyfrą (N.), a komunikaty specjalne cyfrą (Kom.). Za terminy druku ogłoszeń Administracja nie odpowiada.
Wydział ogłoszeń: Złota 1, tel. 691.56 — biuro czynne od godz. 9 rano do 6 wiecz.
Kierownik: Tadeusz Ucieczyński